

poznaniarki listy pisa

Z miłości do drzew... genealogicznych

Ponad dwadzieścia lat temu, kiedy byłam jeszcze w szkole podstawowej, na łamach dwóch poznańskich gazet „Dziennika Poznańskiego” oraz „Głosu Wielkopolskiego” ukazywały się raz w tygodniu teksty autorstwa Andrzeja Kwileckiego oraz Sławomira Leitgebera. Pisali oni głównie o przedwojennym Poznaniu, o domach, mieszkańcach, sklepach, szkołach, hotelach i zwyczajach, a także o ziemiaństwie i arystokracji oraz ich koligacjach rodzinnych. Moja nieżyjąca już babcia Antonina wycinała artykuły obu panów, dawała mi je do przeczytania, a później snuła opowieści.

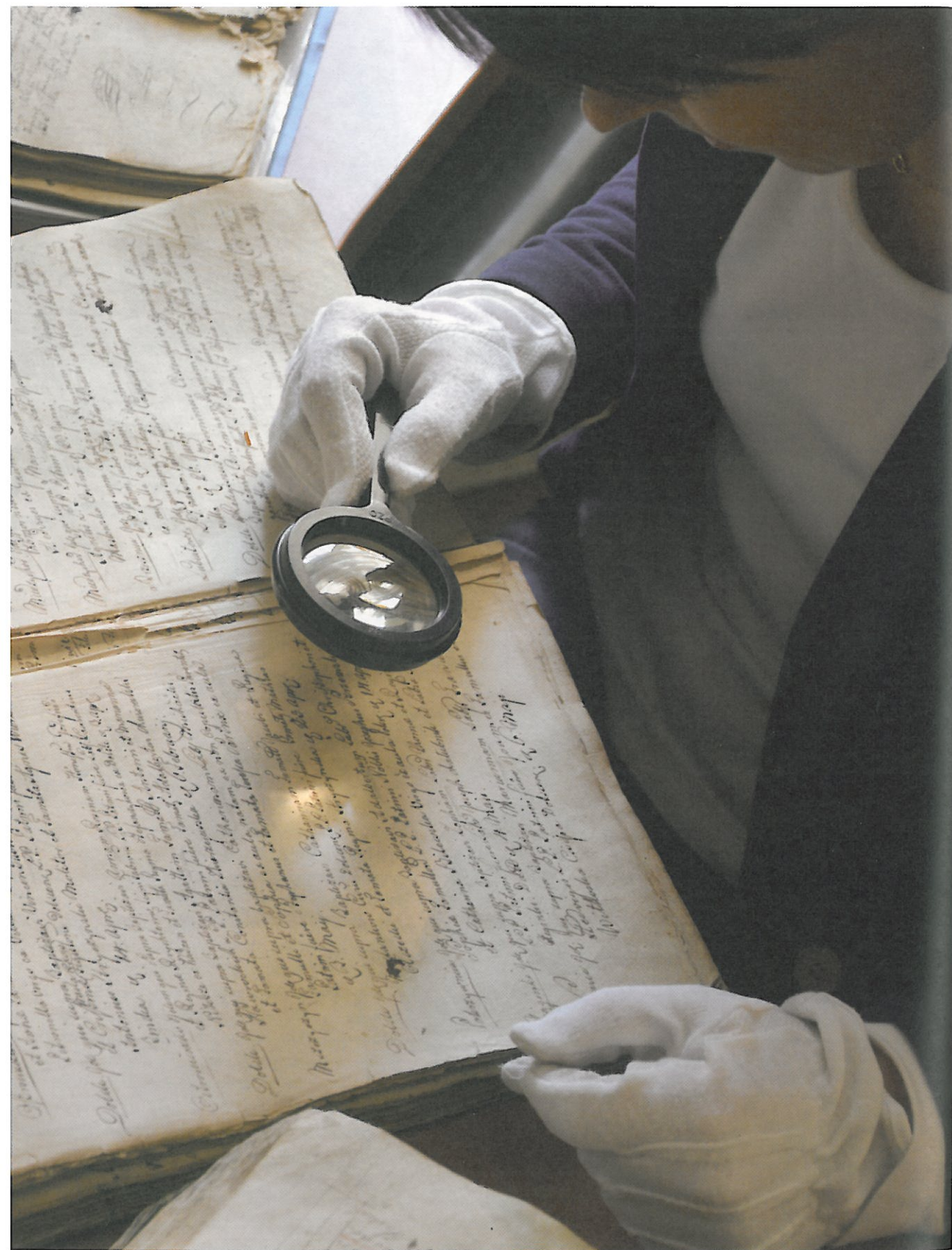
Babcia, rocznik 1918, była poznanianką z krwi i kości, córką lekarza i mieszkanką nieistniejącej już dziś kamienicy przy ul. św. Marcin 9/10. Okres dwudziestolecia międzywojennego to czasy jej dzieciństwa i młodości, miała zatem co wspominać, a ja czego słuchać. Rozmawialiśmy nie tylko o dawnym życiu, ale i o rodzinie. Dzięki tym opowieściom wzbogaconym o przeglądanie albumów z fotografiami, poznałam i żyłam się z ludźmi, którzy odeszli pół wieku przed moimi narodzinami. Byłam opatrzona z ich twarzami, osłuchana z anegdotami i miałam wrażenie, jakbym zawsze ich znała. Z jedną rzeczą miałam kłopot. Dwunastoletniej dziewczynce trudno było zrozumieć koligacje rodzinne. Wtedy to z pomocą babci narysowałam pierwsze drzewo genealogiczne jej rodziny, uzupełniane jeszcze wieczorem przez telefon. Odtąd opowieści o przedwojennym Poznaniu zeszyły na dalszy plan, a zastąpiły je głównie rozmowy o rodzinie: jakie oczy miała prababcia Wanda, jak spędzał wieczory pradziadek Antoni, kim była groźna ciotka Teo i jakiej potrawy wigilijnej nie znosiła moja babcia. Słuchać można było bez końca, tęsknić za dawnymi czasami znanymi tylko z pocztówek – również.

Wiele lat później, będąc już na studiach wybrałam się z wizytą do Archiwum Archidiecezjalnego w Poznaniu, które wówczas znajdowało się w budynku dawnej Akademii Lubrańskiego.

Trafiłam na życzliwych pracowników, którzy cierpliwie wszystko mi tłumaczyli, bo jako nowicjuszką o niczym nie miałam pojęcia. Poszukiwania rodziny pochłonęły mnie bez reszty do tego stopnia, że czasem nie szłam na uczelnię, tylko na Ostrów Tumski, do Archiwum. Były to czasy, kiedy fora genealogiczne nie istniały, o skanach ksiąg metrykalnych w sieci nikomu się nawet nie śniło, o projektach indeksacyjnych [czyli?] również. Miałam do dyspozycji kościelny słownik łacińsko-polski i kilka książek, z których uczyłam się i poznawałam metodologię kwerend genealogicznych [czyli?]. Miałam też wiele uporu, cierpliwości i ogromny głód poszukiwań. Kiedy Archiwum Archidiecezjalne zostało zamknięte z powodu zmiany siedziby, przenieśliśmy się do Archiwum Państwowego w Poznaniu, a także zaczęłam wyjeżdżać do Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie. Równoległe odwiedzałam miejsca mające związek z moją rodziną. Zwiedzałam wsie, miasteczka, zagłębiałam do kościołów, które wtedy były jeszcze otwarte w ciągu dnia, spacerowałam po cmentarzach, przyglądałam się starym domom, kamienicom, dworom i pałacom, bo wiele z nich oglądali swoimi oczami moi przodkowie. Miałam ze sobą zawsze aparat fotograficzny i mapy, które współcześnie zastąpił telefon komórkowy.

W każdym miasteczku szukałam księgarni lub muzeum, by zaopatrzyć się w regionalne, zwykle niskonakładowe wydawnictwa, które





tak pracować: jeździć, szukać, wertować, odkrywać i przywracać ludziom pamięć oraz wiedzę o ich rodzinie. Nie zdecydowałam się wówczas na to, sądziłam, że mam zbyt małe doświadczenie a i rynek nie był wówczas gotowy na takie usługi. Nie przypuszczałam wówczas, że to marzenie kiedykolwiek się spełni. Z upływem lat okazało się również, że genealogia miała ogromny wpływ na mój osobisty rozwój. Przestało mnie interesować tylko to co „moje”, czyli moja rodzina, a krąg rzeczy ciekawych, godnych uwagi, znacznie się poszerzył. Zafascynowały mnie stare mapy, pocztówki, albumy z litografiami, wspomnienia, monografie miast, wsi i parafii, publikacje o dawnych

nie docierały na rynek ogólnopolski. Było to wspaniałe uzupełnienie moich wycieczek. Zwiedzałam też skanseny etnograficzne, muzea wnętrz i techniki, by mieć lepszy obraz czasów, w których żyli moi przodkowie. Genealogia również w domu nie dawała mi spokoju, bo przynajmniej raz w tygodniu przeczesywałam się w poszukiwaniu informacji o rodzinie. Zaowocowało to później kontaktami z nieznaną mi zupełnie częścią rodziny. Były więc przemiłe spotkania, e-maile bądź listy, wymienianie się zdjęciami, wspomnienia i wiele innych miłych akcentów.

Powoli powstawały pierwsze fora genealogiczne, zawiązywały się znajomości i przyjaźnie, spotykaliśmy się w „realnym świecie” i wciąż rozmawialiśmy o naszej pasji. Pierwsze spotkania genealogów z całej Polski miały miejsce w Warszawie i odbywały się raz w roku – w marcu. Ponieważ to dla naszej społeczności było dla rzadko i za krótko, zaczęły powstawać regionalne towarzystwa genealogiczne. Miałam szczęście współtworzyć Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo”, w którym jestem już 10 lat. Nawet nie wiem, kiedy ten czas minął.

Wraz z rozwojem techniki wszystko bardzo przyspieszyło, a genealogia stała się o wiele prostsza. Zaczęły powstawać przeróżne projekty indeksacyjne, pojawiały się kolejne fora genealogiczne, na których można było prosić o pomoc w tłumaczeniu, w zdobyciu aktu z odległego archiwum, czy zdjęcie z cmentarza. Na nich pasjonaci wymieniają się doświadczeniami, dzielą swoją wiedzą, doradzają, a wszystkich łączy „pozytywne zakręcenie” na punkcie antenatów. Szczerze mówiąc, dziesięć lat temu nie byliśmy aż tak liczną grupą jak dziś. [tutaj by się przydała jakaś anegdotka, ciekawa historia, przygoda]

Starając się pomóc moim znajomym z forum, odwiedzałam archiwa poszukując dla nich różnych dokumentów. Wtedy odkryłam, że nie tylko genealogia mojej własnej rodziny sprawia mi wiele radości, z równą przyjemnością mogę to także robić dla innych. Najbardziej wciągający był proces analizy zebranego materiału, to pochłaniało mnie całkowicie. Wtedy też pojawiły się pierwsze myśli o firmie genealogicznej. Poczulałam, że chciałabym

zwyczajach, ubiorach, listy gończe, dawna architektura ziemiańska, mieszczańska i folwarczna, stare cmentarze katolickie i ewangelickie, dawne książki adresowe, wszelkie książki o Poznaniu, słowniki, wykazy i wiele, wiele innych rzeczy. Z zaciekawienia wynikała potrzeba nauki czy zgłębienia ciekawego tematu, a to prowadziło z kolei do chęci podzielenia się zdobytą wiedzą z innymi.

Kiedy rozpoczęłam współpracę z Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu, tym samym, w którym kilkanaście lat wcześniej uczyłam się warsztatu genealogicznego, nie zdawałam sobie sprawy, jaki to będzie mieć wpływ na moje dalsze życie. W Archiwum zostałam osobą odpowiedzialną za kwerendy genealogiczne. Była to bardzo dobra szkoła życia. W tym czasie przejrzałam wiele ksiąg, z najróżniejszych parafii od Ujścia aż po Rawicz i wykonałam kilkaset kwerend. Poznałam w tym czasie wielu interesujących ludzi, głównie naukowców i pracowników muzeów, z którymi rozmowy zaowocowały późniejszą współpracą.

Wiedziałam już wtedy, że poszukiwania dla innych są niemniej wciągające niż dla siebie i że ta praca daje mi ogromną satysfakcję. Dzięki wsparciu i pomocy różnych osób narodziła się firma ORIGO. Wieloletnia pasja, zdobyte doświadczenie, dobry czas i miejsce pomogły urzeczywistnić moje marzenie.

Głównym miejscem mojej pracy jest Archiwum Archidiecezjalne w Poznaniu, jeśli jest taka potrzeba, jeżdżę także do innych wielkopolskich archiwów czy muzeów. Wykonuję nie tylko kwerendy genealogiczne-hobbystyczne, ale również do celów spadkowych. Cały czas poznaję nowych, wspaniałych ludzi, a swoją pasją staram się poprzez wykłady i prelekcje zarażać innych. Nie zaniechałam też pisania i pracy na rzecz Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego.

Całe życie jestem związana z Poznaniem, a moja rodzina ze strony ojca ma związki z naszym pięknym miastem od ponad 230 lat. Tu mam przodków, tu żyję, mieszkam, mam firmę i spełniam swoje marzenia.

Joanna Lubierska-Lewandowska

Zdjęcia: Martyna Kaczmarek